NR 76

Eksploatacya słońca.

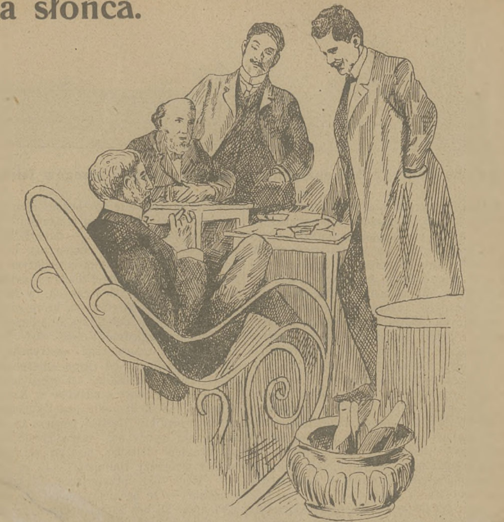
(Wesoła nowela).
Szkic możliwości na prima Aprilis.

Listopadowe słońce toczyło się nad Wenecyą i zalewało powodzią światła plac św. Marka. Tłumy przejezdnych przypatrywały się z zajęciem wstępnym pracom koło wzniesienia nowej wieży na miejscu słynnej Campanilli, płosząc oswojone gołębie i zakłócając majestat miejsca nerwowem zachowaniem się.

Lecz za to dalekimi od kontemplacyi nad znikomością budowli ludzkich byli trzej finansiści, którzy zasiedli przy okrągłym stole w jednym z domów, okalających plac św. Marka. Ożywiona rozmowa błyszczące oczy przy całym zewnętrznym spokoju ich twarzy świadczyły, że obrady toczyły się nad doniosłą sprawą — że coś niezwykłego poruszało ich i zajęło, choć usiłowali pokryć, to maską obojętności.

Lecz nic dziwnego. W pośród tych trzech potentatów złota, przedstawicieli wielkich banków włoskich, stał Jan Szczepanik i wyjaśniał im swój nowy wielkiej doniosłości wynalazek. Zwrócił się z nim najpierw do austryackich bankierów, szukał jeszcze raz poparcia wśród swoich w Galicyi, lecz napróżno. Pomysł jego wydał się dzikim, za bardzo fantastycznym. Mieli nawet za złe Szczepanikowi, że mimo, iż się ożenił, nie ustatkował się i nie przestał wybiegać wyobraźnią poza świat możliwości.

Lecz sławny wynalazca nie dał się zbić z tropu. Choć bardzo kocha swoją żonę, pozostał jednak tak upartym, jak to bywało dawniej. Zwrócił się zatem ze swym pomysłem do grupy bankierów berlińskich, ale kiedy i tutaj, prawdopodobnie wskutek nadmiernego zalewania się piwem, mózgi finansistów niemieckich za mało były lotne, aby towarzyszyć mu na wyżyny projektu, zainteresował swym wynalazkiem milionerów włoskich, pomny na niedawne tryumfy Marconiego i atmosferę bardziej gotową na podjęcie śmiałego przedsięwzięcia.



Jan Szczepanik tłómaczy swój system bankierom włoskim.

I oto teraz właśnie przedkłada im swój plan.

„Mój pomysł, panowie, zasadza się na gromadzeniu ciepła słonecznego, przekształceniu go w formę płynną, a następnie stałą i sprzedawaniu tak przetworzonej energii słonecznej w zimie, jako opał“.

„Czy mógłby nam pan podać bliższe szczegóły?“ — zapytał Oscallotti.

„A tak panowie — odpowiedział Szczepanik. Mój aparat, którym mam zamiar promadzić energię słoneczną, nazwałem „nowym patentowanym słończobiorem“.

„[illegible] nazwa w handlowem znaczeniu“ zauważył drugi.

— Składa się on — wyjaśniał dalej nasz wynalazca — z licznych platinowo-asbestowych zwierciadeł o kształcie sferalno-cylindrowym, które będą umieszczone na wieżach, wysokich trzydzieści kilka me-

Zbrodnia lekarza.

80

Ona nie cierpiała, biedne dziecię, lecz z każdą minutą jej siły się zmniejszały. Któregokolwiek dnia zgaśnie, jak lampa, w której zabrakło oleju.

Nieraz, w dni upalne, doktor zaszedł ją niespodzianie, siedzącą w największem słońcu, na kamiennej ławeczce przy drodze, opartą o ścianę domu.

Dumała. Dusza jej wybiegała w dal i błądziła, szukając ukochanej postaci, której wspomnienie przepełniało jej serce, której nieobecność zatruwała jej życie. Rózia, która jej na krok nie odstępowała, siedziała przy niej.

Pewnego dnia Madelor zapytał córkę:

— Czy nie masz jakiego życzenia, Manieczko?

Wstrząsnęła przecząco głową.

— Możebyś chciała, żebyśmy wyjechali w jaką daleką podróż?

— Nie. Chcę zostać tutaj.

I dodała bardzo cicho, mówiąc do siebie samej i uśmiechając się smutnie:

— Chcę tu umrzeć.

Pewnego razu Madelor zaszedł ją niespodzianie, jak płakała. Sądząc, że jest samą, ujął jej ręce, ukląkł przed nią i patrzał na nią ze smutkiem.

Pomimo jego obecności, daremnie siliła się powstrzymać łzy, które staczały się powoli po jej policzkach i jedna po drugiej spadały na ręce Madelora.

— Czego płaczesz, Manieczko?

Milczała.

— Czy jest kto taki na świecie, coby mógł cię pocieszyć?

— Nie.

— Myślałaś o Jerzym, prawda?

Po dwakroć powtórzyła „tak, tak“ i pochyliła głowę. Łzy ją dławiły i tamowały mowę.

— Gdyby on tu był, wyzdrowiałabyś?

Spojrzała na ojca, a w jej oczach odbiła się niewypowiedziana rzewność, przelotny błysk, który rozpłynął się we łzach.

— Gdzie on jest teraz? — zapytała.

— Czy chcesz, żebym się postarał o tem dowiedzieć?

— Tak. To powróciłoby mi cześć, życie — dodała.

Madelor udał się do la Cendriere, chcąc się zobaczyć z Josilletem.

Wieśniaka nie było w domu, miał wrócić dopiero wieczorem. Madelor zaczekał na niego.

Josillet jednak nie mógł mu udzielić żadnej wiadomości o Jerzym.

Starzec nalegał, błagał ze łzami, aby mu powiedzieć prawdę. Mówił, że Marya jest już blizka śmierci, że jeden tylko Jerzy, jego miłość, jego pieszczoty mogłyby powrócić życie i zdrowie jego dziecku. Mówił, że byłoby okrucieństwem nie do darowania, gdyby Josillet ukrywał przed nimi miejsce pobytu młodzieńca.

Dzierżawca odpowiedział na to poważnie:

— Przysięgam przed Bogiem, że od dwóch miesięcy przeszło nie miałem od mego pana żadnych wiadomości.

Madelor odszedł. Czuł, że myśli mu się plączą w głowie, że już traci rozum, widząc przed sobą tę niezgłębioną przepaść i żadnej możności ratunku.

Marya czekała na niego z niepokojem.

— I cóż? — zapytała.

Chwycił się kłamstwa, wybiegu.

— Za tydzień Jerzy wróci — rzekł, zmuszając się do uśmiechu.

Gdy Madelor opowiedział Paulinie o swojem widzeniu się z Josilletem, wieśniaczka pokiwała głową z niedowierzaniem.

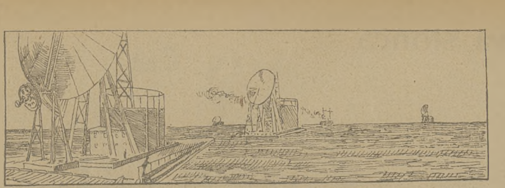
— Josillet nie powiedział prawdy — rzekła.

Jednak za nadto wielka szczerość przebijała w głosie Josilleta, żeby doktór mógł mu nie wierzyć.

— Mylisz się — rzekł — ten człowiek byłby mi napewno powiedział cokolwiek.

Ona jednak chciała się jeszcze sama przekonać o tem nieszczęściu; pojmowała i przeczuwała także, że w powrocie Jerzego leżała jedyna nadzieja wyleczenia Maryi.

Ciąg dalszy nastąpi.



...groźne maszyny Szczepanika, rozstawione wzdłuż brzegów Istryi...

trów. Te zwierciadła olbrzymie będą wprawione w ruch za pomocą elektryczności i będą mogły przyciągać promienie słoneczne w obwodzie dwustu kilometrów. W dalszym ciągu owe promienie, załamawszy się w zwierciadłach, ustawionych pod odpowiednim kątem, będą wpadać wewnątrz wspomnianych przezemnie wież i tu w specyalnych zbiornikach będą się kondensować w płynie, spreparowanym przezemnie umyślnie w tym celu. Przesycony promieniami płyn będzie sam tężał i odpowiednią maszyną będzie krajany w cegiełki, które będziemy mogli sprzedawać po 12 do 16 koron Taka cegiełka, włożona w piec, którego 4 frontowe kafle będą szklane, zapalona spirytusowym płomieniem będzie dawać zarazem ciepło i światło równej niemal mocy i skutku, jak słońce, a wydajniejsze pięciokrotnie od ilości węgla spalonego, za tę samą cenę“

„Lecz ludzie mogą oślepnąć, mając słońce w piecu“ — wtrącił bankier rzymski.

„Niewątpliwie, że tak by było, lecz mój patentowany ściemniacz zapobiegnie temu i pozwoli każdemu regulować odpowiednio ciepło i światło“.

„Zatem poprostu chodzi o konkurencyę z węglem, a różnica cen naszego wytworu i węgla będzie stanowić o powodzeniu nowego interesu“ — wtrącił milczący dotychczas przedstawiciel banku narodowego.

Ja zaś wątpię — zauważył najmłodszy z nich, Piccolini — czy włoski rząd pozwoli nam budować rzeczone maszyny w jakimkolwiek bądź punkcie kraju, zważywszy, że działanie ich będzie rozciągać się poza obręb prywatnej własności“.

„Pomyślałem i o tem — odparł Szczepanik — austryackie imperyum będzie pod tym względem najpodatniejszym dla nas gruntem. Proponuję zbudować dziesięć wielkich zbieraczy słonecznych, w formie wielkich szalup okrętowych, które osadzimy na kałuży w odległości 20 kilometrów od Tryestu względnie Fiume. Być może, że po jakimś czasie rząd austryacki będzie oponował, ale od czego interpelacya w parlamencie włoskim? od czego patryotyczne manifestacye studentów w Rzymie, Wenecyi lub Medyolanie przed konsulatami austryackimi? Jestem pewien, że rząd austryacki będzie nas jeszcze prosił, abyśmy drugich dziesięć maszyn rozstawili wzdłuż wybrzeży Dalmacyi“.

Więc pan przypuszcza — zapytał Piccolini — że będziemy mogli to wszystko urządzić bez żadnego oporu ze strony rządu austryackiego!

„Jestem całkiem pewny — odparł wynalazca. Czyż trójprzymierze nie jest najlepszym naszym obrońcą? czyż panowie nie wiedzą, że Austrya jest dla sprzymierzonych osłem, który dźwiga na krzyżach ciężary swych dwóch kolegów? a może panowie macie jakie skrupuły etyczne w wyzyskaniu tego kraju? Co do mnie, nie mam ich najmniejszych. Gdyby panowie wiedzieli w jakich dyabelnych tarapatach byłem w Przemyślu, tobyście panowie na moim miejscu wymyślili nie słońco-zbieracze, lecz rządowe drapacze — ach, tak i gdyby nie to, że teraz jestem żonaty, dzięki tym tarapatom, tobym“ — tu uśmiechnął się pod wąsem p. Szczepanik i urwał.

Dyskusya zeszła na tory techniczne, a wyjaśnienia, dane pod tym względem przez wynalazcę, były tak przekonywujące, że kompania eksploatowania słońca została zawiązaną jeszcze tego samego wieczora z kapitałem kilkunastu milionów lirów.

* * *

Nadszedł maj roku 1906. Wiedeń zwykle o tej porze ma cudowne dnie, setki wagonów wywożą publiczność w bliskie okolice, czarujące zielenią, zapachami kwiatów, świergotem ptactwa i wesołemi pieśniami rozbawionych mieszczuchów.

Po ulicach snują się o tej porze zgrabne wiedeuki w tiulach, muślinach, koronkach, błyskają drobnemi nóżkami, ukrytemi w szarych, żółtych lub białych bucikach i czarnemi pończochami, rysującemi ponętne kształty podpór niewieścich *„Im wunderbaren Monat Mai — ach“*.

W roku 1906 na ulicach Wiednia w czasie Zielonych Świąt leżą zaspy śniegowe, które setki wozów z trudem wywożą za miasto. Zimny wicher hula po placach, ulicach i ogrodach. Wszystkie okna szczelnie pozamykane. Furmani biją rękami po plecach — dzieci dmuchają w skostniałe palce i biegną do szkół, aby się zagrzać przy piecu. Posłowie spieszą na sesyę parlamentarną w co najcieplejszych futrach, z kołnierzami szczelnie przylegającymi do uszów. Literaci, pozbawieni natchnienia trawestują pod nosem *„In dem verfluchten Monat Mai“*. Ba, nawet miłość wzięła w łeb i zamiast wylecieć z młodemi parami na świeżą zieleń, musi kwaśnieć w kątach pokojów. *„In dem verfluchten Monat Mai“* szepczą do siebie narzeczeni, pół narzeczeni, dziewice i pół dziewice. *„Im wunderbaren Monat Mai“* — nucą za to właściciele składów węgla..

Zewsząd z okolic nadchodzą podobne wieści. Telegram ogłoszony w „Wiener Tagblatt“ opiewa: „W Budapeszcie śnieg spadł na 5 stóp głęboki. Komunikacya kolejowa przerwana. Pociąg, wiozący prezy-

Wielki tydzień w legendach.

(Dokończenie).

W ręce trzyma śliczną palmę, którą odrazu poznały zbudzone nagle skowronki. Toć ta sama, którą wczoraj uwiły i do Nieba posłały.. Jakżeby jej nie poznały, lubo dzisiaj odmieniona i cała w cudnem kwieciu wonnem, które palmę gęsto okryło z chwilą, gdy ją łzy Chrystusa zrosiły rzęsiście... Więc się ptaszęta dziwują i cieszą i do stóp swej Jasnej Pani zlatują się chmarą. Marya zaś w tym skrzydlatym obłoku idzie poprzez chłopską rolę i palmą oną ukwieconą błogosławi plonom ludzkich znojów...

Potem zajrzy do wsi jednej, drugiej... i dziesiątej... póki wszystkich nie obejdzie w Wielkim Tygodniu męki Syna Swego. I gdzie niedola najcięższa, tam pewnie w progu ubogim zjawi się biały gość z Nieba, niosąc kwietną palmę zieloną, którą zrosiły serdeczne łzy Zbawiciela. Odtąd zaś pod takim dachem jeno pokój zamieszka na stałe pod błogosławieństwem Bożem.

* * *

Istny rwetes powstaje w chatach wiejskich w Wielkim Tygodniu: kto żyw — bierze udział w porządkach i przygotowaniach przedświątecznych, boć to ino dwa razy do roku takie święta: zimą Gody, z wiosną Wielkanoc.

Niczem dziś jednak robota gospodarska w porównaniu z wielką pracą, jaką w swoich chatach za wsią mają czarownice przez wszystkie dni i noce Wielkiego Tygodnia. Trzeba bowiem wiedzieć, że raz w rok, kiedy u nas właśnie Wielkanoc, czarownica miewa pod swym dachem gościa nad goście! Sam dyabeł we własnej osobie odwiedza ją w te święta, a wiedźma podejmuje go po królewsku.

Żeby wszakże zgotować mu przystojne przyjęcie, tyle ma zachodu, iż chyba wyrzekłby się kto inny takiego zaszczytu, by uniknąć trudów ogromnych, z tem połączonych; gdy tymczasem czarownica pewnikiem zgodziłaby się choćby przez miesiąc po dwa razy na dzień wodę nosić aż z samego piekła na swoje podwórko — byle tylko kum kusy nie omieszkał odwiedzić chaty wonczas, gdy we wsi śpiewają wszyscy przy święconem: „Wesoły nam dziś dzień nastał...“

Mało komu wiadomo, co też taka wiedźma prawdziwa, dyabłu z duszą i ciałem zaprzedana, ma do roboty przed ową wizytą upragnioną. Oto rzecz najważniejsza, iż bies nie jada byle czego, lubo żarłok pono z niego straszny; podobnie jak żyd w naszym domu nie będzie jadł naszego obiadu, tak i dyabłowi prawie wszystko nie byłoby „koszerne“, gdyby miał zasiąść za stołem pierwszego lepszego gospodarza. Wie o tem najlepiej czarownica i taką dla gościa gotuje wprzód ucztę, jakiej mu potrzeba

Trudno tam zbadać wszelakie tajemnice tej piekielnej kuchni Jednego wszakże doszli już ludzie. Cokolwiek dla biesa przyrządza czarownica, to gotuje na maśle... Ba, na maśle, ale na jakiem?

Otóż w tem sęk i cała zagadka, dlaczego to właśnie tyle zachodu mają wiedźmy w Wielkim Tygodniu.

Dla zrobienia owego masła dyabelskiego potrzeba zgromadzić mnóstwo mleka, aliści w tem właśnie trud cały. Mleko to będzie pochodziło nietylko od krów — i to nietylko własnych krów czarownicy — ale nadto i od kobył, królików, myszy, kotów, nareszcie i od kobiet, karmiących dzieci. Tylko od świń i psów nie ściągnie ona nigdy mleka, a to przez uszanowanie dla dyabła, który lubi się niekiedy przemieniać w psa czarnego lub w czarną świnię.

Wiedźma, gdy jej idzie o mleko, potrafi mieć moc wielką nad krowami i ludzie wiejscy dobrze o tem wiedzą, iż, gdy zechce, zdoła ona mleko odebrać krowie lub je tylko zepsuć, w krew przemienić, lub wodę, albo wreszcie sprowadzić na dojne bydło chorobę lub śmierć nawet... Gdyby tylko czarownica mleka skosztowała, jużby



...powietrze, wstrząśnięte gwałtownie, spowodowało wybuch zamkniętej energii słonecznej...

denta gabinetu Szella, ugrzązł w śniegu koło Tovaros“.

Inny telegram, ogłoszony w „Neue Freie Presse“ dzieli się z czytelnikami z doniosłą wiadomością: „Rada miasta Krakowa, wobec niesłychanych opadów śniegowych utworzyła stałą posadę dyrektora śniegowego, z roczną pensyą 6.000 koron i dodatkiem letnim na opał w kwocie 600 koron“.

Rzecz naturalna, iż w parlamencie poruszono sprawę „włoskiej kompanii eksploatacyi słońca“. Czesi wytoczyli ciężkie działa narodowej obrazy, jako, że rok rocznie w maju czeskie słowiki śpiewają w Pradze, a obecnie nie ma ich, czyli, że zginęły w drodze dzięki bezwstydnym włosko-niemieckim zakusom, które były specyalnie wymierzone przeciw wracającym z południa czeskim słowikom.

Partya katolicka zagroziła hr. Gołuchowskiemu obstrukcyą i wniesieniem wniosku o wprowadzenie podwójnej liczby godzin nauki religii w szkołach, gdyż zima w maju jest dopustem boskim i następstwem braku religii.

Koło polskie nie poruszyło palcem w bucie, co się dało galicyjskiemu ludowi tem łatwiej wytłómaczyć, jako, że palce sędziwego prezesa Jaworskiego zmarzły w kamaszkach wobec 10-cio stopniowego mrozu.

Wszystkie inne partye polityczne wniosły interpelacye w sprawie włoskiego zamachu na klimat austryacki, odpowiednio do swych poglądów społeczno-narodowościowych. Wszystkie jednak kładły nacisk, że doskonale poinformowane pisma wiedeńskie jeszcze w lutym r. 1906 w alarmujących artykułach zwracały uwagę rządu na bezczelność włoską, że dziesięć maszyn, zbudowanych przez p. Szczepanika, niewdzięcznego eks-kaprala austryackiego, powędrowało na odpowiednio zbudowanych szalupach z Otranto ku brzegom austryackim i że w pobliżu Tryestu i Fiume rozpoczęły swoją straszną działalność.

Że te wiadomości były uzasadnione, dowodem tego najlepszym miesiąc maj. Promienie słoneczne, przyciągane w obrębie kilkuset kilometrów niezmiernemi platynowo asbestowymi zbieraczami systemu Szczepanika, pochłaniały wszelką ciepłotę spływającą ze słońca na monarchię habsburgską.

Posypały się gromy na rząd i na ministra spraw zagranicznych. Podnoszono nie bez słuszności, że Austrya stała się kozą dojną trójprzymierza i że dla illuzorycznej równowagi europejskiej gotowa jest nawet dać sobie odmrozić nogi, ręce i nos. Rzecz naturalna, że na następnem posiedzeniu prezydent gabinetu dał uspakajającą wiadomość, iż centralne biuro meteorologiczne przewidziało te fatalności meteor., ale nie przepowiada ich już na rok przyszły..

Wysłany w r. 1906, jako specyalny korespondent „Nowin“ na brzegi Adryatyku, aby odfotografować widok, jaki przedstawiały groźne maszyny Szczepanika rozstawione wzdłuż wybrzeży Istryi i dać czytelnikom naszym wiarogodne informacye, zasięgnięte u źródła, bo u samego wynalazcy, który bawił w tym czasie w Tryeście, w celu udoskonalenia swego wynalazku — dojeżdżałem właśnie koleją południową do brzegów Adryatyku, rozglądając się po polach pokrytych śniegiem i po okolicy zasnutej mgłami i szaremi chmurami, kiedy nagle wstrząsnął nami straszny huk, jakby tysiąc armat wystrzeliło naraz.

Pobledliśmy wszyscy. Czyżby Kroaci przypomnieli sobie rok 1903 i wysadzili w powietrze Budapeszt, razem z władzami autonomicznemi i politycznemi? Lecz nie miałem czasu na dalsze wnioskowanie.

Straszny huk wstrząsnął znowu powietrzem, a zaraz po nim nastąpił trzeci, czwarty, dziesiąty. A potem długa cisza. Maszynista pociąg wstrzymał, wszyscy wybiegli z wagonów.

Śnieg leżał na milę dokoła, ale szare chmury, które od miesiąca nie ustępowały prawie z nieboskłonu, poczęły się rwać i po jakim kwadransie słońce zalało nas czerwonymi promieniami. Było to już bowiem w początkach czerwca.

Pociąg ruszył dalej, nie było bowiem żadnych sygnałów niebezpieczeństwa. Tak dojechaliśmy przerażeni i na poły zdumieni do Tryestu. Czuliśmy, że jakaś stra-

---

krowa je straciła zupełnie. Niechno taka zła wiedźma wykręci się na pięcie przed progiem stajni, a potem krowa przejdzie przez ten dołek, już ją tak zaczarowała, iż od dziś dnia krwią się będzie doiła... To samo będzie, gdy ją okadzi sawiną. Ale tak już ona robi, że jej czary na złe wychodzą ino właścicielom bydła, jej zaś przeciwnie, na korzyść.

Odebrawszy mleko cudzym krowom, wiedźma oddaje je swoim. Wprawdzie ma i bez tego sposób na sprowadzenie mleczności u krów własnych przez zawiercenie do ich rogów jakichś ziół tajemniczych. Woli ona jednak szkodzić innym. Więc nieraz w tym celu swoją krowę okadzi przestępem i puści ją z drugiemi krowami w pole do stada gromadzkiego: a wtedy wszystko mleko ściągnie krowa jej do siebie. Albo bierze starą bronę z kołkami drewnianymi, stawia przy swej oborze, od wschodu siada przy niej, jak przy krowie, a powiedziawszy sobie, iż który z kołków jest wymieniem krowy sąsiada, doi z niego mleko do skopka.

Przez cały Wielki Tydzień krząta się czarownica po wsi — gdzie nie może za dnia, tam się nocą zakrada — i na gwałt mleko odbiera wszelakiemu bydłu, a po drodze zbiera zioła i węgle, których pasterze napalili na pastwisku; tylko takiego bowiem paliwa użyć ona może do ugotowania świątecznej uczty dla dyabła.

Chodziła ona wprzód do niego nocą na nowiu miesiączka pod krzak rokitowy — pytać o wszystko, co i jak ma zrobić i dostała od niego przedziwne sposoby prędkiego pomnożenia dobytku i nabiału ze szkodą dla innych. Za dwa doręczone tam dyabłu jajka od kury z plebanii otrzymała od kusego dyabelski serek, który ona sama jeść ma codzień na czczo i dać z niego część krowom swoim w chwili, gdy je okadza przestępem, skutkiem czego z dziewięciu chat z sąsiedztwa przyjdzie do niej mleko i od bydła i od kobiet karmiących — a na tem właśnie zależy wiedźmom nie mało.

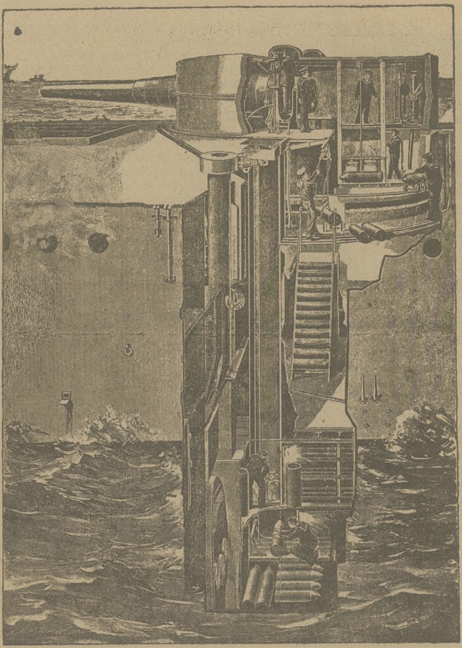
Wszystko to jednak wystarczyłoby czarownicy w innej porze. Nie dość jej zaś tak podebranego mleka w Wielkim tygodniu, gdy oczekuje na święta gościa w kusym fraczku.

Więc innych jeszcze sposobów używa. Mianowicie codzień o świtaniu wychodzi ze skopcem i powązką na łąki, bez względu na to, czy jest już duża trawa, czy nikła jeszcze. Powązką swoją szasta ona długo po mokrej trawie, zbierając w ten sposób rosę i z powązki wykręca ją do skopca, mówiąc przy tem bezustannie: „Biorę pożytek, ale nie wszystek“. Przyniesioną do domu rosą myje wiedźma krowom swoim wymiona, co pomaga do większej ich mleczności.

Powiadają, że pewien parobek, konie pasący na łąkach, podpatrzył i podsłuchał czarownicę i z żartu idąc za nią, szastał uzdami po trawie, mówiąc: „A ja, niestatek, biorę ostatek“. Gdy wrócił do chałupy i na kołku uzdy zawiesił, dostrzegł po chwili, że z tej uzdeczki najwyraźniej mleko kapało. W taki sposób sam odebrał resztę mleka krowom, które pasały się na onej łące i wszystko bydło w domu pozdychało, ponieważ czarownica, domyśliwszy się, że ją parobek podpatrzył, z zemsty czary swoje pozakopywała w miejscu, którędy on bydło przeprowadzał.

Co noc w tym czasie chodzi czarownica nago około wrót, drzwi, odźwierza, ustrugując z nich po trzasce, które wrzuca w skopiec, aby jeszcze przymnożyć sobie mleka na masło dyabelskie na święta. Nadto o świtaniu, upatrując, żeby tego nikt nie widział — idzie wiedźma do stawu, myje wszystko naczynie i bierze konewkę wody do domu; tu myje krowom wymiona, odmawiając przytem swoje formuły; a następnie kadzi bydło przestępem: wtedy doić będzie obficie nawet roczne jałowice, jeszcze nie pobierane.

Z tem wszystkiem musi uporać się na czas. Czeka ją bowiem jeszcze daleka wyprawa. Według jednych nocą z wielkiej Środy na Czwartek, według zaś innych dopiero w następną noc po Wielkim Czwartku, wyjeżdża czarownica na miotle



Wieża pancerna na okręcie liniowym w przekroju. (Patrz artykuł).

szna katastrofa dotkęła okolicę, ale jaka, nikt z nas nie wiedział.

Pierwsza wiadomość, która piorunem obiegła wszystkich pasażerów, były słowa naczelnika stacyi:

— Słońco-zbieracze wysadzone w powietrze!

— Szczepanik zginął! — przebiegło mi przez głowę.

— Gdzie? w której stronie? spytałem.

— Jedź pan dwa kilometry w stronę Miramare, stamtąd pan wszystko zobaczysz — otrzymałem odpowiedź.

W dwie minuty potem pędziłem co koń wyskoczy we wskazanym kierunku. Zdaleka zobaczyłem tłumy ludzi na wyniesieniu. Spojrzałem na morze... niebieskie, zalane słońcem, puste, ani śladu żadnej katastrofy.

Stanąłem przy pierwszej gromadzie ludzi...

— Co? — rzuciłem pytanie.

— Uratowany!

Bez słowa pobiegłem w stronę ambulansu, który powoli toczył się po gościńcu.

— Jestem korespondentem — zawołałem — co się stało?

— Szczepanik uratowany — usłyszałem w odpowiedzi.

Kazałem się wieść w ślad za ambulansem. Tymczasem poczęło się robić coraz goręcej. Zdjąłem futro, bo poty zaczęły na mnie występować. Lud śpiewał zapamiętale, skakał, tańczył z radości. Lato — lato nareszcie!

Ambulans stanął przed hotelem Delorme. Szczepanik sam wysiadł. Odetchnąłem. Posłałem natychmiast swoją kartę. Wskazano mi drzwi. Wszedłem. Sławny wynalazca siedział zmęczony, przybity do fotelu, na szczęście sam nie ranny.

Bez słowa podaliśmy sobie ręce.

— Pan po wiadomości do „Nowin?" Niech pan kłania się redaktorowi i powie, że straciłem miliony. Wszystkie moje maszyny zniszczone, a z nimi wszystkie zapasy, porobione na zimę. Nasza kompania zrujnowana".

— Ale jak? ale jak? — spytałem gorączkowo.

— Ćwiczenia na brzegu artyleryi austryackiej, próby najnowszych haubic. Tej ewentualności nie przewidziałem. W chwili właśnie, kiedy z brzegu chciałem odfotografować moją flotę, aby posłać żonie podobiznę do Wiednia, padł pierwszy strzał. Stało się to tak nagle! Chciałem chustką powstrzymać dowodzącego porucznika — lecz w tej samej chwili cała baterya dała ognia. Skutek był straszny. — Powietrze wstrząśnięte gwałtownie spowodowało wybuch zamkniętej energii słonecznej w moich kondensatorach i tak jeden statek po drugim powodował wybuch następnego. Ma pan kliszę — chciałem mieć pamiątkę.

---

przez komin swojej chaty w daleką podróż, z której wszakże powraca już przed rannem pianiem kur we wsi.

Jest to jedno z dorocznych spotkań wszystkich wiedźm na Łysej Górze. A im większy smutek wonczas po kościołach naszych, tem większa tam uciecha na ich zgromadzeniu.

Jak gdyby chciały się przedrzeźniać rzewnej pieśni „Wisi na krzyżu", z naszych siół płynącej po niwach, pobudzonych wiosną, czarownice opętane wyją wściekle, tańcząc na Łysej Górze „piekielnego" na swych miotłach...

Spada wtedy z nieba święty Jerzy między wiedźmy, dyabłom zaprzedane i dzidą ogromną rozpędza szatańskie wesele, nie chcąc dopuścić do obrazy Boskiej. Boją go się wielce czarownice, wystrzegając się pilnie, by której z nich nie dotknął w głowę końcem swej dzidy, gdyż na nicby się jej przydały wszelkie przygotowania, z trudem czynione w Wielkim Tygodniu, dyabeł bowiem nie zaszedłby już do jej chaty na świąteczną ucztę.

Wielki Piątek...

Jakiś smętek powiał po wsi; na pola cisza zapadła głucha... I wszystko naraz zmartwiało..

Rzekłbyś, żal serdeczny przeszedł poprzez sioła nasze, po przez niwy orne... i po lasach tłucze się łkanie rzewne — odkąd nie słychać echa dzwonów kościelnych.

Niegdyś, niegdyś przed wiekami był już taki Wielki Piątek. Ziemią całą wstrząsnął ból, chmury zaćmiły słońce.

A kiedy ludzie męczyli Boga i Matka Jego płakała pod krzyżem, krążyły ptaki nad Zbawicielem, świecąc w ciemności mokrą źrenicą.

A kiedy brzozy z wierzbami u stóp Golgoty po raz pierwszy zapłakały drżące, skowronek ciernie wyciągał z głowy Chrystusa, jaskółki do ran krwawiących przykładały listki chłodzące, a bocian wysoki do ust krzepnących podawał winną jagodę...

A potem wróble zleciały chmurą i owadom wszelakim broniły przystępu do ciała świętego...

Dziś duma ptactwo w łozinie smutnie główkami kiwając: odezwać się boi głośniej, żeby wesołą pieśnią wiośnianą nie przeszkadzać kanarkowi, który przyśpiewuje Panu Jezusowi w grobie.

I tak w ciszy, umartwieniu mija na wsi Wielki Piątek. Noc zapada jeszcze cichsza... Sen ukoi ludziom żal.

Jedna tylko straż czuwa przy grobie Chrystusa w kościele. Puhacz z dzwonnicy umyka, nad mogiłki leci krążyć nad krzyżami... A z pod mogił mary wstają z trumien. Na wieczorny „Anioł Pański" nie słyszano tutaj dzwonów.

Więc wychodzą dzisiaj z grobów nieboszczycy pobudzeni... Klęczą cienie u stóp krzyżów o północy, modląc się gorąco.

Hen od wioski leci cisza wielka i z tym cmentarnym smętkiem rzewnym miesza się i rozpływa w mrokach dziwnej nocy...

A kiedy w siołach ludzie zasną w noc po Wielkim Piątku i w mrokach znikną drogowskazy na rozstajnych drogach, Pan Jezus z krzyża przydrożnego wyciąga ramiona i schodzi na niwy, ludzkim znojem przeorane... I przez pola idąc o północy z wyciągnionemi rękoma, błogosławi pracy rolnika na chleb powszedni.

Przez wieś kroczy cicho i pod strzechy zagląda. Gdzie smutnych zastanie w rozpaczy, pocieszy; płaczących ukoi przy Swej piersi; ulży w niedoli ciężkiej najuboższym...

Aż sioła ciche obszedłszy — ku miastu zdąża z miłością, krzepić za murami grubymi wiarę i nadzieję słabnącą.

Kaz. Kalinowski.

Siły rosyjskie i japońskie na dalekim Wschodzie.

W berlińskim „Lokal-Anzeigerze“ ogłosił niemiecki generał, Ryszard Pfeil, artykuł, w którym oblicza obecne siły wojenne Rosyi na dalekim Wschodzie. Ponieważ autor trzyma się ściśle przedmiotu i obrabia go wyłącznie ze stanowiska fachowego, wywody więc jego, nie zabarwione tendencyą polityczną, zasługują na tem większą uwagę.

„Generał Kuropatkin — pisze generał Pfeil — przybył do Charbina i obejmuje obecnie faktyczne dowództwo nad rosyjską armią lądową w Azyi wschodniej. Gdy się śledziło z dnia na dzień za wiadomościami, które podawała rosyjska urzędowa i nieurzędowa prasa, można obecnie z pewną ścisłością stwierdzić, jakie siły ma Rosya na placu boju, to jest w trójkącie, którego boki tworzą linie kolejowe: Port Artur—Charbin—Władywostok, a mianowicie zdolne do boju i liczebnie pełne oddziały. Można z niejaką pewnością twierdzić, że od chwili wybuchu wojny Rosya nie wysłała do Azyi wschodniej żadnych jeszcze większych zamkniętych oddziałów wojskowych europejskich. Czegoś podobnego mimo surowej cenzury nie można zataić na czas dłuższy. O takich wysyłkach wojsk dowiedziałaby się prasa zagraniczna za pomocą listów z dotyczących miast garnizonowych. O dwóch bateryach polowych, które przed czterema mniej więcej tygodniami odeszły z Gatczyny na plac boju zaraz pisano do syta, podobnie więc byłoby się stało i z innemi oddziałami.

Rosya w rzeczywistości nie miała dotychczas możności jednotorową koleją syberyjską przewozić wielkich oddziałów wojskowych. To, co dotąd przewieziono, są to posiłki, przeznaczone do postawienia na stopie wojennej bądź istniejących już, bądź nowo utworzonych oddziałów na dalekim Wschodzie. Uzupełniono te oddziały częścią batalionami, utworzonemi z ochotników, częścią rezerwistami rosyjskimi, wtedy nasunie się uwaga. Korpusy, w pierwszym rzędzie przeznaczone do Azyi wschodniej, to jest X. charkowski, tudzież XVII. moskiewski, niezupełnie jeszcze są zmobilizowane dla oszczędzenia kosztów, nie miałoby bowiem celu utrzymywanie tych korpusów tygodniami całemi na stopie wojennej bez możności wysłania ich przeciwko nieprzyjacielowi. Obecnie rozpocznie się już rychło ich przewóz.

Przeprowadziwszy szczegółowe obliczenia dochodzi p. Pfeil do następujących cyfr: Ogólna siła Rosyi na dalekim Wschodzie wynosi:

Piechota	142.475 bagnetów
Konnica	22.330 pałaszy
Artylerya	17.000 ludzi

Razem ogólna siła rosyjska wynosi 181.805 ludzi i 540 do 660 dział.

Ile wojsk mają Japończycy na Korei, ściśle określić nie można.

Z doniesień, jakie otrzymano w Petersburgu dowiadujemy się, że armia japońska w Korei ma być silniejszą, niż pierwotnie przypuszczano. Składa ją bowiem nie trzy lecz pięć dywizyi: pierwsza, która wylądowała w Gensan, piąta i szósta wysadzone na ląd w Czinampo, dziesiąta z Czemulpo i dywizya gwardyi, którą zaraz po rozpoczęciu wojny przewieziono do Mazampo. Mają one liczyć ogółem 55.000 piechoty, 4500 jazdy, 3600 pionierów i 3600 artyleryi, czyli razem około 70 tysięcy ludzi i 180 dział.

W rosyjskich kołach wojskowych twierdzą podobno, że armia ta nie jest dość silna do skutecznego wtargnięcia do Mandżuryi południowej. Przyznają tam atoli, że będzie ona miała z początku przewagę pod względem artyleryi. Armia mandżurska rosyjska liczy wprawdzie dział więcej, bo 196, lecz baterye rosyjskie rozproszone są w mniejszych oddziałach na ogromnej przestrzeni

Armią japońską w Korei dowodzić ma nie marszałek Nodzu, lecz gen. Kuroki.

Współczesna morska artylerya.

W czasie wojny niezbędnem jest chociaż powierzchowne obeznanie się ze sztuką wojenną

Oto więc słów kilka o artyleryi, tym najniezbędniejszym rodzaju broni, szerzącym zniszczenie i niosącym śmierć z odległości niemal bajecznych.

Artylerya i w bitwie morskiej stanowi najpotężniejszą siłę; działo z najrozmaitszych odległości nadaje się zarówno do niszczenia okrętów jak i zabijania ludzi; tylko artylerya jedna jest w stanie walczyć z nadbrzeżnemi twierdzami. Słowem, artylerya jest dziś niemal wszystkiem.

W jednym tylko kierunku siła artyleryi nie wystarcza: — naboje artyleryjskie z ogromną trudnością przenikają pod wodą i dlatego armata jest prawie bezsilną, wobec podwodnych części okrętów.

Uzupełniają ją jednak doskonale jej siły: miny i torpedy.

Strzelnictwo na morzu znajduje się w znacznie gorszych warunkach od strzelnictwa na lądzie. Strzelać wypada z postawy chwiejącej się i ruchomej do takiegoż celu. Przytem sposoby mierzenia odległości na morzu nie są tak udoskonalone jak na lądzie. Wreszcie odległości są bardzo zmienne, gdyż i okręt, z którego się strzela, jak okręt, do którego się mierzy, są prawie w bezustannym ruchu.

Dlatego też celność strzałów z dział na morzu jest prawie 3 razy mniejszą niż na lądzie. W bitwie morskiej ilość trafnych strzałów nie przenosi nigdy 5 na 100.

Ażeby brakowi temu zapobiedz, starają się o to, ażeby kule szły po liniach możliwie łagodnych, przez co zyskuje się zwiększenie szans, ażeby strzały padały jaknajczęściej a przy małej odsetce ilość celnych strzałów może być dostateczną. Szybkostrzelającą nazywa się armata, z której można strzelać przynajmniej 1 raz na minutę.

Morska artylerya dzieli się na 3 typy: ciężką (lub wielką), średnią i lekką (lub drobną).

Przeznaczeniem ciężkiej artyleryi jest przebijanie najlepiej zabezpieczonych części okrętu, przytem tak, ażeby okręt odrazu pozbawionym został zdolności bojowej. Można to uczynić na małych stosunkowo odległościach, gdyż z daleka trudno jest trafić w pewną określoną część okrętu, a przytem siły pocisków są wtedy niedostatecznemi. Kalibry ciężkiej artyleryi wynoszą 9—12 cali. Działa są olbrzymie. Pociski ważą do 25 pudów, kierowanie więc armatami i nabijanie ich można uskutecznić tylko za pomocą sił mechanicznych. W tym celu istnieją specyalne maszyny parowe, hydrauliczne i elektryczne.

Średnia artylerya przeznaczoną jest do niszczenia całej nadwodnej części okrętu i zabijania załogi. Kaliber armat 3—8 cali. Kierowanie i nabijanie jest ręcznem. działa są szybkostrzelne.

Lekka artylerya posiada działa kalibru 37—65 mm.

Jej zadaniem jest strzelanie do łodzi torpedowych, a w bitwie z krążownikami lub pancernikami — pomaganie średniej artyleryi.

Pociski, przeznaczone do przebijania pancerzy, robione są z twardego metalu i zaopatrzone w materye wybuchowe z takiem wyrachowaniem, ażeby wybuch mógł nastąpić dopiero po głębokiem zaryciu się w pancerz stalowy, czyli po wielkiem wstrząśnieniu. Pociski dział mniejszych kalibrów zawierają dużo ilości wybuchowych materyi i sam wybuch jest znacznie ułatwionym.

Prócz dymnego lub bezdymnego prochu, używane są najczęściej jeszcze następujące materye wybuchowe: wilgotna piroksilina (w Rosyi i Niemczech), melinit (Francya), liddit (Anglia) i wiele innych.

Materye o wielkiej sile wybuchowej rozrywają pocisk dokładniej, lecz zato nie pozwalają na głębokie zarycie się pocisku w pancerz, prócz tego przy ich użyciu trudno jest wzniecić pożar.

Pancerze do 1880 r. budowane były z żelaza kutego, lecz gdy pociski z hartowanego żelaza poczęły je dziurawić, rozpoczęto wytwarzanie stalowych pancerników. W 1886 r. pojawiły się pociski ze stali chromowej, które z łatwością przebijały pancerze ze stali compound'owej.

Wówczas poczęto budować nadzwyczajnie ścisłe i twarde pancerze ze stali z domieszką niklu, a w 1890 r. zjawiły się słynne amerykańskie pancerze Harweya. Te ostatnie opierały się wszystkim ówczesnym armatnim pociskom

Płyty Harweya budowane są z miękkiej stali, których powierzchnia przy pomocy chemicznego procesu, zwanego cementowaniem, węglorodowaniem, doprowadzoną jest do tak nadzwyczajnej twardości, że wszelkie pociski odbijają się od niej. Wewnętrzna zaś warstwa pozostaje miękką, przez co pancerz zyskuje nadzwyczajną elastyczność, paraliżującą siłę pocisku. W 1895 r. „Król armat“ A. Krupp, ulepszył płyty Harweya i nadał im nazwę płyt Kruppa. Wyścig między pociskiem a pancernikiem nie ustawał. Ludzkość z kolei zaczęła sobie głowy łamać nad wynalezieniem pocisku, któryby nawet pancerz Kruppa mógł przebić. Dotąd najważniejszym etapem w tej pogoni są pociski admirała Makarowa, wynalezione w 1898 r. Wynalazca zaopatrza szczyt pocisku w główkę z bardziej miękkiego metalu niż zbudowanym jest sam pocisk. Główka ta odgrywa rolę buforu, zabezpieczającego pocisk od rozbicia o twardy pancerz. W ten sposób siła pocisków, jak wykazały próby, zwiększoną została o 10—15%.

Rany na wojnie.

Profesor chirurgii, członek rady wojskowo-medycznej, r. t. L. L. Lewszyn, w oficerskiem kasynie odczytał wobec tłumnie zebranej publiczności referat o ranach na wojnie współczesnej. Lektor stwierdził, że ilość rannych obecnie zmniejszyła się, że w bitwach współczesnych niewielki procent żołnierzy ulega zranieniu.

W bitwie pod Kannami, według Mommsena, zabitych było 95 proc., rannych tylko 5 proc.

W ostatnich wojnach stosunek rannych i zabitych tak się przedstawiał: w rosyjsko-tureckiej wojnie 1877—1878 roku było 31 prc. zabitych, po stronie Anglii w wojnie boerskiej — 25 prc., po niemieckiej w wojnie 1870/71 r. 14,8 prc. Co się tyczy śmierci z ran, cyfry dają obraz następujący: z 278,866 rannych w wojnie amerykańskiej zmarło 34,500, t. j. 12,4 prc., w niemiecko-francuskiej z 94,764 — 10,424 (11 prc.), w rosyjsko-tureckiej z 40,753—10,611 (26 prc.), w boerskiej, po stronie Anglii,

z 22,829—2,018 (8 prc.), po stronie boerów z 436—27 (5,5 prc.). Słowem rany stają się coraz mniej niebezpiecznemi; rzadziej też wypada uciekać się do amputacyj.

Największa ilość ran przypada na pociski z odległości 1000—1200 kroków. Z tej odległości kula przebija ciało na wylot. Z powodu oporu powietrza energia wystrzału słabnie, gdy kula przeleci 1200 metrów; w odległości 1300 do 2700 kroków możliwe są uszkodzenia kości. Na jakiej odległości kula jeszcze może być śmiertelną, trudno wskazać. Rany z kul ołowianych i „dum-dum“ niebezpieczniejsze są od zadawanych przez dzisiejsze pociski ze stali. Dowodem tego jest mały procent zmarłych z ran podczas ostatniej wojny chińskiej (3,2 prc.). Większy napór dzisiejszych kul sprawia, że rany czynią dłuższy przelot w ciele, ale nie wywołują strzaskania kości. To też w boerskiej wojnie ilość amputacyj wynosiła tylko 1 prc. Najniebezpieczniejsze są rany kości pacierzowej, czaszki i żołądka. Odnośne cyfry zmarłych w lazaretach niemieckich są: 50 prc., 27,7 prc., 15,4 prc. Zresztą cyfry ran śmiertelnych od kul i od pocisków artyleryi są nader różne, np. od ran twarzy w pierwszym wypadku umierało 4,5 prc., w drugim—10 prc. Bezwarunkowo śmiertelnym jest tylko strzał w serce, w arterye szyi i uszkodzenia górnych kręgów, znajdujących się w związku z procesem oddychania. Niektórzy obliczają, że rany, spowodowane przez broń ręczną, są śmiertelne w 25 prc. wypadków, ciężkie w 15 prc., lekkie w 25 prc. Natomiast rany od pocisków artyleryi śmiertelne są w 30 prc. wypadków, ciężkie w 25 prc. i lekkie w 45 prc. Wreszcie mniejszy procent śmiertelności z powodu ran, odniesionych na polu bitwy, jest zasługą dzisiejszej chirurgii, która dosięgła wysokiego stopnia rozwoju i skuteczną jest tam, gdzie dawniej nic zaradzić nie mogła.

Jak biją kule.

Obliczano dawniej, że na wojnach z 500 kul przeciętnie jedna tylko zabija. W wojnie francuskiej z 400 kul jedna godziła zabójczo, w krymskiej jedna z 740. Przy obecnych oszańcowaniach podczas wielkiej wojny zapewne miliony kul wypada z luf bez skutku. W krymskiej wojnie, wśród przyjmujących udział w bitwie francuzów, zabitych lub zmarłych z ran było 31 prc; ten sam los spotkał $22^1/_2$ prc. anglików, będących na polu bitwy. W niemiecko-francuskiej wojnie zginęło 20 prc. francuzów. W południowo-afrykańskiej wojnie z 448,435 angielskich żołnierzy zginęło 22,047, t. j. 5 prc., z 75 tys. boerów — około 4,400, t. j. $6^1/_2$ prc. Ztąd okazuje się, że zwyciężeni stosunkowo ponieśli mniej ofiar niż zwycięzcy. Naogół stosunek ten wypada na niekorzyść zwyciężonych. W pietnastu wielkich bitwach zeszłego stulecia zwycięzcy stracili 15 prc., pobici 27 prc. Pod Sedanem ze 124 tys. francuzów zginęło 38 tys., t. j. 31 prc., ze 190 tys. niemców—9 tys., t. j. 5 prc. Jest to najniższy znany stopień strat zwycięzców. Pod Lipskiem straty zwycięzców wynosiły 16 prc., pobitych — 36 prc. Zazwyczaj cyfra ofiar po stronie zwycięskiej dochodzi 7 prc. Najwięcej zwycięscy stracili pod Marengo, bo 25 prc., przy 30 prc. po stronie przeciwnej. Pobici ucierpieli najwięcej pod Gettynburgiem w północno-amerykańskiej wojnie: 40 prc.! Najmniej stracili przegrywający w bitwie pod Solferino: mianowicie 14 prc.

LISTY ZE SWIATA.

Paryż, dnia 26 marca

(Prof. Curie. — Dr Curie Skłodowska. — Życie dla radium.)

Nie tuziny, ale kopy reporterów, interwiewów, profesorów, dygnitarzy, ministrów, dyplomatów, cudzoziemców... dobijają się codziennie do mieszkania pp. Curie na dalekiem przedmieściu — i odchodzą, nie mogąc się dostać do środka. Od czasu nagrody Nobla rzesze całe nachodzą tę uczoną parę, która przecież nie pozwala zabierać sobie drogiego czasu. Nagrody Nobla dotychczas jeszcze nie odebrali, bo trzeba po nią pojechać do Stokholmu, a profesor powiada: ja na to nie mam czasu; a ona mówi: ja na to niemam czasu. I tak jest w istocie. Pp. Curie mają mieszkanie z ośmiu ubikacyi, ale niechaj nikt nie sądzi, że to jest mieszkanie, jakie znamy i mamy. Bynajmniej; największa izba to laboratoryum, wielki stół na środku, z jednej strony stołek pana, a z drugiej pani. Obok gabinet toaletowy z łazienką, obok sypialnia: dwa łóżka i dwa stołki, wszystkie inne pokoje są puste, niema w nich nic, nic, prócz zegaru na kominku. Pokoje te służą do przechadzki, więc trzeba, żeby w nich było jak najwięcej powietrza. W domu u siebie pp. Curie nie przyjmują nikogo. Profesor wykłada w Sorbonie cztery godziny na tydzień, pani ma także poza domem pewne godziny zajęte. Dwa razy po wykładzie udają się do apartamentów Societe physique i tam jedynie można się z niemi widzieć.

Profesor narzeka, że te wykłady, które wraz z drogą tam i z powrotem zawsze z ośm godzin na tydzień mu zabierają, to największy dla niego ciężar, to strata czasu, szkoda dla nauki, dla badań. Ci ludzie żyją wyłącznie tylko dla nauki, dla pracy; zaszczyty, pieniądze nie mają dla nich żadnego znaczenia. Niewątpliwie za niewiele lat zostanie znakomity profesor uwolniony od wykładów, ażeby mógł wyłącznie badaniom się oddawać. Dziedziną ich pracy jest chemia, ale każde ma swój osobny kierunek, swoje specyalności. Obecnie atoli prace ich obojga obracają się około radium. Jest to odkrycie, jak wiadomo, tak doniosłe, że nic dziwnego, iż pochłania wszystek czas i wszystkie myśli tej uczonej pary. Pani Curie-Skłodowska miała zamiar przybyć do siostry swojej p. dr. Dłuskiej w Sanatoryum w Zakopanem ale czy przybędzie, ona sama wątpi.. bo niema czasu na nic innego, tylko na radium. Są to ludzie wyjątkowi, którzy woleliby siedzieć gdzieś w ukryciu, żeby im nikt w pracy nie przerywał.

Dziewczęta japońskie.

Smutnym jest los dziewcząt japońskich, oczywiście tych, które nie przyszły na świat jako córki markizów, baronów, albo bogatych samurajów (szlachciców).

Biedna japonka już w piętnastym roku życia staje wobec strasznego pytania, co stanie się z nią dalej?... Rodzice uważają, że, karmiąc ją przez lat tyle, uczynili już swoje i pragną pozbyć się ciężaru za jakąkolwiek cenę.

Zwykle próbują ulokować względnie odstąpić córkę jaknajkorzystniej. Jeśli jest ładną — rzecz to nader łatwa. Wnet zjawia się jakiś usłużny pośrednik czy faktor, i za porękawicznem, nie przechodzącem kilku yenów, nastręcza dziewczynie miejsce drugiej żony u jakiegoś zamożnego obywatela lub kupca, mogącego pozwolić sobie na taki zbytek.

Rodzice otrzymują wówczas od 300 do 500 yenów odstępnego, lub też wynagradzani są miesięcznie. O córce opowiadają z dumą, iż zrobiła karyerę; jakoż rzeczywiście los takiej pobocznej żony, o ile trafi na dobrego człowieka, jest dosyć znośny.

Gorzej nieco dzieje się tym, które wstępują w szeregi herbaciarnianych gejsz. Herbaciarnia płaci za gejszę rodzicom również najmniej 300 yenów, sama dziewczyna prowadzi tam czas jakiś bardzo wesołe życie, ale opłaca je najczęściej zdrowiem. Nie zna za to wstydu i upokorzeń, zawód jej wcale nie jest bowiem uważany za hańbiący w tym kraju, gdzie pojęcia moralne pod pewnemi względami nie ukształtowały się jeszcze podobnie do naszych.

Tak naprzykład nieślubnego dziecka nie wstydzi się tam żadna kobieta, przeciwnie o ile wydała na świat chłopca, cieszy się z tego faktu, spodziewa się mieć bowiem pomoc i opiekę na starość.

Łatwy chleb przypada jednak w udziale nieznacznej tylko części dziewcząt japońskich. Większość zmuszona jest zarabiać na życie ciężką pracą, zwykle jako robotnice fabryczne.

Robotnic jest w fabrykach japońskich o wiele więcej, niźli robotników. Nieszczęśliwe to istoty.

Nie dalej, jak przed kilku laty, cała prasa japońska omawiała los kobiet, pracujących w przemyśle bawełnianym i zaapelowawszy do opinii społecznej, zmusiła wreszcie rząd do przedsięwzięcia pewnych środków ochronnych i zaprowadzenia kontroli nad zakładami fabrycznemi.

Niewiele to jednak pomogło — złe trwa w dalszym ciągu i praca kobiet w fabrykach japońskich, jak przedtem, ma wszystkie cechy ciężkich robót.

Robotnice przychodzą do fabryk o godzinie 6-ej wieczór i pracują do 12-ej w południe dnia następnego bez przerwy, to znaczy, że na jedzenie i odpoczynek pozostaje im wszystkiego sześć godzin na dobę. Zrozumiałą jest rzeczą, że nawet przy dużej wytrzymałości, właściwej narodom mongolskim, żadna istota ludzka nie może znieść bezkarnie takiej ilości pracy bez wytchnienia, to też przemysł japoński pochłania tysiące ofiar.

Sprytni agenci, wędrujący po wsiach i miastach, starają się napędzić jaknajwięcej łatwowiernych dziewcząt w tę matnię, i, obiecując im złote góry, zmuszają do zawierania z góry umów trzyletnich z właścicielami fabryk. Trzy lata wytrzymuje jednak niewiele robotnic, przed upływem kontraktu zwykle przychodzą suchoty i sprowadzają wycieńczoną kobietę do grobu.

Inne dogorywają powoli, zapełniając szpitale fabryczne, przedstawiające istny obraz męczarni i nędzy.

Przemysł japoński zużywa nietylko kobiety, ale i małoletnie dzieci, których praca również nie jest dotychczas wzbroniona i stanowi główną siłę wielu przedsiębiortw. Przy fabrykach znajdują się wielkie koszary, gdzie niejednokrotnie mieszczą się całe tysiące dzieci, zaprzedanych przez własnych rodziców-biedaków niecnym spekulantom.

Dzieci te pracują również od 15 do 18 godzin dziennie, to też śmiertelność pośród nich panuje wprost straszna.

Te fatalne stosunki w dziedzinie przemysłu są skutkiem kulturalnej młodości japońskiego narodu, który, starając się dogonić Europę, nie miał jeszcze czasu uregulować w należyty sposób wewnętrznego swego życia, wszystkie wysiłki zwróciwszy na razie na zewnątrz.

G.

Dla pań naszych: gustownie i tanio.

Kwiecień, ów miesiąc niespodzianek atmosferycznych i nieodłącznych katarów, zaczyna się i wiedzie nas do upragnionej pory roku — wiosny.

Jak dotąd, temperatura wahająca się nie pozwala nam jeszcze zupełnie zrzucić ciepłej odzieży, moda patrzy pobłażliwem okiem na różnorodność ubrań bieżącego półsezonu, ale mimo to wydaje rozkazy na niedaleką przyszłość.

Charakterystycznych zmian nie wiele można zauważyć w owych wiosennych modelach, ale mimo tego są one. Przedewszystkiem panowanie spódnic wszywanych w karczek i obcisłych na biodrach, zdaje się dobiegać końca. Coraz więcej fałd, coraz więcej namarszczań, nawet i owe niezwykle praktyczne trotteusy, nie uchroniły się



Suknia wiosenna z czarnej „crepe du chine"

od fałdzistości. Lekko powłóczysta suknia, nierzadko z trzech wolantów się składająca, podatna na wizyty i do teatru, a mniej praktyczna na ulicę, utrzymuje się nadal.

Do przybrania, oprócz szmuklerszczyzny, coraz częściej pojawia się sukno w jaśniejszym tonie, albo co oryginalniejsze, miękka skóra. W całym szeregu etamin, popelin i woali w barwach changeant, poczestne miejsce zajmują materyały w szkocką, ukośną (diagonal) kratę, szczególniej ulubione na suknie dla młodych panienek.

W państwie okryć wiosennych republikańska swoboda. Zarówno ściśle do talji przylegający żakiecik, jak i peleryna, bądź to krótka, podwójna, bądź pół długa, to jest kolan sięgająca, noszone będą. Jedynie luźne, workowate saki, przechodzą do niegustownych wspomnień. Charakterystyczna linia przedłużenia ramion występuje coraz dobitniej. Przy luźniejszych okryciach i przy całkowitych kostiumach osiągamy ją niezmiernie długiemi epoletami, tworzącemi jakoby pelerynkę.

Złote, mniejsze i większe guziki, złote galoniki, ba, nawet i złote pampile, służą wciąż do przybrania okryć i żakietów. Byleby nie przeładować, to metalowe te ozdoby bardzo ładny efekt wywołują.

W kapeluszach wiosennych moda jest szczodrobliwa. Nie narzuca nam szablonowego typu, pozwala przystrajać główkę takiem nakryciem, w jakiem nam jest do twarzy. Od wspaniałego Rembrandta lub Gainsborougha z wysoką główką, przechodząc do lirycznej capeline lub płaskiej, nieco naprzód wygiętej pasterki, zatrzymać się możemy nareszcie na najmodniejszym, t. zw. bolero Santos, uwidocznionym na naszym rysunku. Czarna słoma, ładna kokarda z satin liberty, przepięta strzałą z jakimś kamyczkiem, oto ładna całość, kosztująca w Paryżu tylko 4 fr. 25.

Droższym o 50 cent. jest drugi fason capelino z włoskiej słomy, garnirowany słomianą plecionką i przybrany gazą oraz skromnymi kwiatkami. Zarówno pióra i skrzydełka, a nawet i całe ptaszki, nie wyszły z mody, oczywiście kwiaty i wstążki, jako tańsze, zatrzymują również prawo obywatelstwa, a do praktycznych i tanich należeć będzie ciągle przybranie fantazyjną plecioną słomą w ciemniejszym tonie od główki kapelusza. Do tego kawałek wstążki z fantazyjną kokardą i całość gotowa. Te z nas, które muszą być praktycznemi, kupią fason modny w fabrycznym sklepie, przybranie w hurtownych magazynach, gdzie znajdą olbrzymi wybór tego, co im potrzeba, a potem wszystko to dadzą niedrogiej modniarce, i wtedy każdy szczegół będzie według ich gustu tworzył harmonijną całość.

Zaciekawicie się pewno czytelniczki, jeśli wam opowiemy o bolerze, wartości półtora miliona franków. A jednak istnieje takie. Ma je panna Louise Fagette, diva teatru des Ambassadeurs w Paryżu. Materyał, z jakiego go zrobił jubiler oczywiście, nie krawiec, to złota siatka, zdobna ornamentami w stylu Ludwika XV. W ornamentach tych oprawiono ni mniej ni więcej tylko 4.000 sztuk pereł i drogich kamieni, między któremi są kamienie niezwykłej piękności i blasku. Całe bolero, zapinane z przodu na zatrzaski z czarnych pereł i zakończone na lewem ramieniu kokardą z dużym brylantem, waży 1.500 gramów, to znaczy blisko cztery funty. Wykonał go paryski jubiler Stamel przez ciąg trzech miesięcy, a sama robota kosztowała 25.000 fr. Naturalnie panna Fagette wozi ze sobą specyalny skarbczyk do przechowywania tego klejnotu, przedstawiającego wartość sporej fortuny.

H. K.

Dobrodzieje naszego społeczeństwa.

Z rozmówek na linii A — B.

Najznakomitszy na cały Wielki Kraków z Dębnikami, Krowodrzą etc. artysta malarz Spirytosław Kiwko spotkał mnie onegdaj na linii A—B, wstrząsnął czupryną niestrzyżoną od półtora roku na której paradował zrudziały melonik, uchwycił w krzepką dłoń laskę niezmiernej grubości, zgrzytnął zębami i podając mi dłoń na pożegnanie, rzekł zapalczywie:

— Do widzenia, idę...

— Dokąd idziesz?

— Idę prać tę hołotę.

— Jaką?

— Tych... tych uliczników, mydlarzy, łapserdaków, ciemnych nieuków, przewrotnych łotrów. Jednem słowem idę sprać nasze kochane społeczeństwo.

Ochłonął trochę z pasyi i kończył z wilgocią żalu w krtani.

— Nie kupują moich obrazów... Piękne podziękowanie za moje poświęcenie! Mogłem był osiąść w Londynie, Paryżu lub Wiedniu. Jednak rzekłem sobie: cóż nastąpi, gdy wszyscy geniusze opuszczą kraj rodzinny? Pozostałem, aby uszczęśliwiać społeczeństwo i... pozawczoraj otrzymałem obstalunek szyldu dla rzeźnika. Czy wobec tego nie można się wściec?

Ale ja, jako człowiek gołębiej natury, dobry i łagodny, rzekłem mu tylko tonem parlamentarnej perswazyi:

Słuchaj, ośle jeden, cymbale i idyoto! Społeczeństwo nasze znajduje się w dziwnych warunkach. Gdzieindziej jego synowie pracują na niwie rodzinnej i bynajmniej nie uważają siebie za dobroczyńców narodu.

U nas byle gryzmoła, byle muzykantcina i byle techniczyna, skoro tylko dłubie coś w kraju, już podnosi głos i przybrany w togę męża stanu wrzeszczy:

— Mogłem zbierać laury zagranicą, lecz poświęciłem się dla was, chamy!

Oj, oj, oj! Znam ja te wasze poświęcenia i znane mi są też wasze laury zagranicą!

Jeżeli chcesz się przekonać o prawdziwości moich słów, podąż bracie na dworzec Nordbanki.

Niema pociągu, któryby nie przywiózł przynajmniej jednego obieżysasa. Taki pan śpiewał np. w rozmaitych „Scalach" koczujących, coś w rodzaju naszych teatrzyków w Mościskach i Brodach.

I gdy zdarł gardło jak szczotkę do zamiatania podłogi, wtedy *robi poświęcenie i powraca służyć swoim.*

Poczciwe, chociaż gapiowate społeczeństwo nasze rozdziawia wtedy usta z zachwytu, rozwiera gościnne ramiona i „męża, który się poświęca" darzy synekurą.

Czy rozumiesz mnie gwazdaczu jeden? Źle ci pomiędzy nami, więc nie poświęcaj się i ruszaj pomiędzy Niemców lub Anglików. Tam geniusz w twoim rodzaju liczą na setki kop tuzinów. Tu u nas rzeźnik powierzył ci malowanie szyldu, tam będziesz użyty do pociągania lakierem wozów miejskich, przeznaczonych do wywożenia śmieci.

Jedź bracie i zabierz ze sobą wszystkich, którzy pobyt pomiędzy nami uważają za akt poświęcenia.

I gdy powrócisz z podbitem okiem i w poszarpanej krawatce, przyjmiemy cię jak bohatera.

Nasze społeczeństwo umie być wdzięcznem nawet idyotom, byleby ci umieli swój idyotyzm podszyć pod pozory wzniosłych cnót obywatelskich.

Tyle jako człowiek gołębiej natury powiedziałem malarzowi Kiwce, poczem poszedłem na kawę do Sauera.

fr.

Różne wiadomości.

Prawowierny Turek. Znany w kawiarniach paryskich turecki handlarz wędrowny dywanów, zaszedłszy w tych dniach do jednej kawiarni przy Chaussé d'Antin, ujrzał tam Araba, zapijającego absynt. Oburzony takiem łamaniem przykazań Mahometa przez wyznawcę proroka, prawowierny Turek wyrwał Arabowi szklankę z ręki i wśród wymyślań wyrzucił ją przez okno. Ma się rozumieć, że wywiązała się z tego kłótnia i bójka, a w końcu obaj wyznawcy Mahometa powędrowali pod opieką policyantów do najbliższej stacyi policyjnej.

Zawzięta samobójczyni. W Saarbrucken aktorka niemieckich scen prowincyonalnych, Franciszka Walter, zrozpaczona ciągłym niedostatkiem, postanowiła życie zakończyć. Rzuciła się tedy do Saaru, ale urato-

wali ją marynarze i odesłali do szpitala. Tam próbowała dwukrotnie przez okno wyskoczyć na bruk uliczny; postawiono więc przy jej łóżku dozorczynię. I to jednak nie pomogło, nieszczęśliwa bowiem, nie widząc innego sposobu skończenia z życiem, które widocznie ciążyło jej bardzo, poprzegryzała sobie w nocy tętnice na rękach i tak cicho leżała, iż zanim spostrzeżono jej czyn okropny, zmarła skutkiem upływu krwi.

Przepowiednia. „Gil Blas" podaje wróżbę tej samej jasnowidzącej, która zapowiedziała operacyę kiszek króla angielskiego Edwarda. Głosi ona: Japończycy wezmą Port Artura 29 marca (nie wzięli), w kwietniu wielka bitwa lądowa, ogromne straty po obu stronach, ale Japończycy zwyciężą. W maju ogólny rozruch na dalekim Wschodzie; Francya, Anglia, Niemcy posyłają tam okręty. W czerwcu rewolucya nihilistyczna zmusza Rosyę do powrotu wojsk z Azyi. W jesieni zawarty zostaje pokój.

Nie długo już czekać, czy się to sprawdzi.

Najmniejsza kobieta. Wielkie zainteresowanie budzi obecnie w Paryżu mała „księżniczka Chiquita", występująca co wieczór w cyrku tamtejszym.

Francuzi zachwycają się nią poprostu, pierwszy raz bowiem istotnie widzi się tak maleńką karliczkę, o tak dużem jednocześnie rozwinięciu duchowem. To też dokoła miniaturowej „księżniczki" cisną się codziennie tłumy publiczności, a każdy prosi o jej fotografię z podpisem.

Dochody właściciela cyrku, Bostocka, wzrosły dzięki tej nowej artystce jego trupy o 20,000 fanków tygodniowo.

Chiquita ma pięcioro rodzeństwa i wszyscy, oprócz niej, są zupełnie normalni. Mała osóbka urodziła się w roku 1883-im, jako córka biednych ludzi. Lekarz, który pierwszy oglądał niemowlę, nie przepowiadał mu życia dłuższego nad kilka tygodni, dziecko ważyło zaledwie 900 gramów, t. j. około dwóch funtów, a mieściło się doskonale w pudełu od cygar.

Przez pierwsze pięć lat swego życia dziewczynka wegetowała istotnie bardzo słabo i nie mówiła prawie wcale, potem jednak rozwinęła się bardzo szybko.

Młoda karliczka jest bardzo muzykalna i gra na kilku instrumentach, a także bardzo zgrabnie tańczy, to też publiczność podziwia ją podczas każdego przedstawienia w Cake Walku, w którym niema równej sobie. Mimo, iż liczy już lat dwadzieścia, Chiquita najlepiej czuje się między dziećmi i chętnie bawi się z niemi, w rozmowie robi jednak wrażenie zupełnie dojrzałej i wypowiada wcale nie dziecinne zdania.

Wielką radość sprawił maleńkiej tancerce prezent, jaki otrzymała niedawno — jest nim odpowiedniej wielkości samochód, na którym ukaże się wkrótce na ulicach. Paryżanie oczekują pierwszego jej wyjazdu z wielką ciekawością. Takiego automobilu i takiej automobilistki, nie widziano jeszcze.

Lecznica dla ptaków. W pobliżu Londynu, w Norwood, założono szpital dla wszelkiego rodzaju ptactwa.

„Journal de l'Agriculture" podaje kilka ciekawych szczegółów tego jedynego w całym świecie zakładu, powstałego z inicyatywy obecnego dyrektora, przezwanego „doktorem kur", aczkolwiek nie tylko kury otacza on swą opieką.

Do otwarcia rzeczonego szpitala przyczyniły się były dyrektor zakładu hodowli drobiu, Wale, który z powodu grasującej epidemi wśród hodowanego ptactwa poniósł dotkliwe straty. Chcąc zaradzić złemu, począł on leczyć swych pierzastych pacyentów z taką umiejętnością i dobrym skutkiem, iż sąsiedzi zgłaszali się do niego o poradę dla swego chorego ptactwa. Wale, prócz leczenia na miejscu, otrzymał ogromną ilość listów z Europy, Afryki południowej, Australii, Kanady z prośbą o osobiste przybycie lub o udzielenie przynajmniej pisemnych rad i wskazówek.

Obecnie szpital jest literalnie zapełniony i sale, podzielone na małe klatki z zachowaniem wszelkich zasad hygieny, nie mogą pomieścić napływających wciąż opierzonych pacyentów.

Zdarza się przytem często, że właściciele, nie wierząc w uratowanie ptactwa i chcąc się od niego uwolnić, oddają je do lecznicy, pod pozorem zbadania przyczyn jego choroby.

Wale leczy ptactwo przeważnie przy pomocy pigułek, robionych w ambulatoryum szpitalnem. Rozumie się, iż skład pigułek tych trzymany jest w najgłębszej tajemnicy. Sprzedaż pigułek odbywa się na grosy po cenie bardzo niskiej.

Prócz leczenia chorób wewnętrznych, „pan doktor" stosuje też i chirurgię: nasadzić zwichniętą nóżkę kurzą lub kaczą, opatrzyć ranę jest dla niego zabawką. Prócz ogromnej wprawy okazuje on niezwykłe zamiłowanie w obranym zawodzie. Z tego powodu istnieje zamiar zmiany tytułu „doktora kur" na „przyjaciela ptaków".

Przedstawienia w teatrze miejskim podczas świąt.

W teatrze miejskim dnia 3 b. m. **„Eros i Psyche"** powieść sceniczna w 7 odsłonach Jerzego Żuławskiego, ilustrowana muzyką Jana Galla.

Obrazy: I. W Arkadyi. II. Zmierzch bogów. III. Pod krzyżem. IV. Rinascimento. V. Przez krew. VI. Dzień dzisiejszy. VII. Wyzwolenie.

Psyche	PP. Mrozowska
Blaks	„ Sosnowski
Eros	„ Andruszewski
Arystos	„ Jednowski
Stary Grek	„ Zelwerowicz
Charmjon i Delaroche	„ Zawierski
Laida	„ Sulima
Ksieni	„ Wolska
Siostra wikarya	„ Wójcicka
Siostra furtyanka	„ Konarska
Giani i Tolo	„ Frączkowski
Kapelan klasztorny	„ Stępowski
Pietro historyk	„ Przybyłowicz
Lorenzo, dworzanin	„ Leszczyński
Głos Dantona	„ Kotarbiński
Hedone	„ Zielińska

Początek o godz. 7, koniec o godz. 11.

W teatrze miejskim dnia 4 b. m. o godz. 3 popoł. **„Kopciuszek"** widowisko fant. w 8 obrazach z muzyką, śpiewami i tańcami B. Grimma i Görnera, przerobił A. Walewski.

Imci P. Goździk, Pan na Biadolinach	PP. Zelwerowicz
Sybilla, jego druga żona, primo voto Grafini Paweż	„ Senowska
Kunegunda } dzieci z pierwszego małż.	„ Jutkiewicz
Serafina }	„ Sulima
Zefirek, marszałek dworu	„ Zawierski
Rózia, zwana Kopciuszkiem, córka Goździka, z pierwsz. małżeństwa	„ Mrozowska
Żebrak-Gwiazdoń	„ Jednowski
Baba-dziwo	„ Konarska
Król Świeczek	„ Stępowski
Królewicz Krasnolicy	„ Leszczyński
Białonóżka, wielki koniuszy	„ Walewski
Kasztelanowa Możdzież	„ Wójcicka
Halina, jej córka	„ Walczakowa

Wieczorem o godzinie 7-ej:

W teatrze miejskim dnia 4 bm. **Wesele Figara** komedya w 5 aktach Beaumarchais'ego, ilustrowana muzyką Mozarta.

Hr. Almaviva, grand biszp.	Pp. Sobiesław
Hrabina, jego żona	„ Sulima
Figaro, sługa hrabiego	„ Mielewski
Zuzanna, narzeczona Figara	„ Mrozowska
Marcelina	„ Wójcicka
Antonio, ogrodnik hrabiny	„ Stępowski
Fanszetka, córka Antonia	„ Dulębianka
Cherubin, paź hrabiego	„ Zielińska
Bartolo, doktor sewilski	„ Zelwerowicz
Bazyli, muzyk	„ Jednowski
Don Guzman Bridoison, urzędnik miejscowy	„ Przybyłowicz
Pastuszek	„ Frączkowski
Pasterka	„ Jeremi